

## **02b. O tym mieście muszę koniecznie też**

...a w kończącym wierszu koniecznie i o drużynie z numerem 98!

Po szpitalnej przygodzie, wakacje 1950 roku spędziłem u Rodziców w Sierpcu. Pobyt w rodzinnym domu bardzo korzystnie wpływał na uspokojenie i dawał możliwość zastanawiania się nad dalszymi planami żywotnymi - szczególnie wobec niedoma-



Dom rodzinny w Sierpcu po wojnie. Fot. autora

gań zdrowotnych.

Podczas tych ferii uprawiałem - jak niegdyś - wędkowanie z kolegami w zakolach czystej jeszcze wówczas i dziewiczo pięknej Sierpienicy. Kąpałem się też w tej rzece na tzw. „Glinkach”, odbywałem jakieś spotkania z harcerzami z dawnych lat, w tym z Jankiem Sułkowskim z mej dawnej drużyny. Przede wszystkim zaś spotykałem się z Magdą.

Magda, która teraz kończyła studia w Krakowie, przez kilka gimnazjalnych lat była moją koleżanką klasową a ponadto pierwszą dziewczyną, w której się naprawdę i przepięknie kochałem. Potrafiłem wówczas godzinami spacerować przy jej ogrodzie, aby ją przynajmniej zobaczyć. Potrafiłem też spowo-

dować sensację w całym mieście przesyłając ukochanej Magdu-  
si pozdrowienia poprzez centralną rozgłośnię Polskiego Radia  
wtedy, gdy radio było jeszcze w powijkach. Jej największym  
atutem były urzekające, czarne oczy - miałem więc o czym  
śpiewać i rzeczywiście śpiewałem. Cóż, kiedy ona wciąż kochała  
się w starszym ode mnie Zdzišku i oznaczało to mój pierwszy w  
życiu wielki, miłosny zawód.

Przez lata wojny, i aż do mego przeniesienia się do Płocka, sy-  
tuacja uległa - na szczęście - diametralnej zmianie i staliśmy  
się zakochaną parą, nieod-  
łączną w krajobrazie niewiel-  
kiego, mazowieckiego mia-  
steczka.

Ba, pewnego razu - w czasie  
okupacji - porządnie oberwa-  
łem chcąc „rycersko” bronić  
swej dziewczyny przed żan-  
darmami. A było to tak: Imie-  
niny kolegi, Franka Orzażew-  
skiego, na których spotkało  
się kilkanaście osób, przecią-  
gnęły się nieco poza godzinę  
policyjną. Wychodziliśmy pa-  
rami, aby w razie spotkania z  
żandarmami nie narazić od  
razu wszystkich. Wyszedłem  
więc z Magdą i kiedy z daleka  
usłyszałem „Halt!”, zatrzyma-  
łem się posłusznie, aby wziąć  
na siebie wszystko. Pozwoliło  
to mojej ukochanej na skok  
do bramy i przedostanie się  
podwórkami z powrotem do  
mieszkania państwa Orzażewskich.



Czarnooka Magda

Mnie natomiast żandarmi zabrali na posterunek przy ulicy  
Stodólnej i zaczęli spisywać protokół. Wyglądało to na rutynową  
czynność policyjną do czasu, gdy okazało się, że właściwie inte-  
resuje ich tylko jedno: kim była towarzysząca mi osoba?



Imieniny Franka Orzażewskiego, Magda z gitarą, a ja stoję bezpośrednio nad nią.  
A drugi od prawej Jakub Chojanacki.

Ja dla odmiany, właśnie tylko tego nie chciałem ujawnić. Prawdę mówiąc - była to z mej strony jedynie zbędna bohaterszczyzna, bo przecież nie chodziło o żadną konspirację i mojej Magdzie nic wielkiego nie mogło grozić. Kiedy, na powtarzające się pytania z dziecinną naiwnością odpowiadałem, że nie znam nazwiska swej towarzyszki, ociężała żandarmi zabrali się powoli i systematycznie do dzieła. Kazali mi się położyć na krześle i odmierzali szpicrutą baty do czasu, aż się poddałem. Miałem tak posiniaczone pośladki, że przez cały tydzień - pomimo matczynych kompresów - nie mogłem usiąść. Na szczęście, na tym się wszystko skończyło.

Innym razem z kolei, również podczas okupacji, kiedy mój uzdolniony manualnie i pełen wyobraźni braciszek, Jurek, skonstruował szopkę satyryczną, pełną kukiełek przedstawiających postacie z najbliższego otoczenia, znaleźliśmy się na scenie razem z Magdą. Wówczas, jako autor piosenek do tej szopki, ułożyłem żartobliwą zwrotkę i byłem śmiertelnie przekonany o wiecznej aktualności zawartej w niej sentencji:

*„Leci samolot nad Sierpcem,  
ogonem wywija,  
miłość Jasia i Magdusi  
nigdy nie przemija!”<sup>21</sup>*

Akurat !!! O święta naiwności zakochanych, młodych - i nie tylko młodych - ludzi! Przecież, jak się okazało po kilku latach, poza ogólną sympatią dla mej pierwszej dziewczyny, wszystkie erotyczne fluidy przeniosły się u mnie do Sopotu, a u niej do Krakowa i to tak dalece, że pozostawały nam jedynie sympatyczne spacerunki i przyjacielskie rozmowy.

\* \* \*

Muszę szczerze wyznać, że podczas obecnego, wakacyjnego pobytu w rodzinnym mieście byłem jeszcze na tyle młody i „zbuntowany”, że nie podlegałem sentymentalnym wzruszeniom na sam widok znajomych uliczek, budowli, czy wreszcie na widok spotykanych twarzy.

Niczym mnie wtedy nie przyciągało na przykład przyzwoite rozwidlenie dróg, wiodących do Warszawy, Lipna i Brodnicy, chociaż do tego miejsca dotarłem przed południem 21 stycznia 1945 roku wprost z Sułocinka<sup>22</sup>, aby zobaczyć radzieckie czołgi, które masowo parły na zachód. Ich sylwetki widziałem z daleka, kiedy brnąłem spocony przez kompletnie zawiane śniegiem pola, ponieważ wspomniane rozwidlenie dróg położone było znacznie wyżej niż właściwe miasto.

W kierunku cmentarza szedłem kilka kilometrów w uratowanej, czarnej, ojcowskiej pelisie z kołnierzem z wydry, a podbitej znakomitym futrem z tchórzy. Do tego na nogach miałem za duże, nowiutkie, długie buty ze świńskiej skóry w naturalnym

---

<sup>21</sup> Nic dziwnego, że mając takie doświadczenie z szopką, wykorzystałem je na Politechnice Gdańskiej a potem w kręgu „Z Tumskiego Wzgórza” ( patrz opowiadanie nr 24)

<sup>22</sup> Sułocinek oddalony jest o 1 km (na zachód) od młyna w Mieszczyku i tam, u miejscowych rolników, schroniłem się przed nadejściem frontu. Tam też, nad ranem, kiedy gromadnie spaliliśmy na podłodze, przyszli Rosjanie.

kolorze, które odkupiłem od jednego z młynarzy. Odstąpił mi, bo niósł kilka podobnych par z bezpiecznego pociągu towarowego, pozostawionego przez Niemców w szczerym polu. Do tego wszystkiego na głowie miałem jasno-szarą czapkę, uszytą na podobieństwo polowych czapek Wehrmachtu. Pod koniec okupacji, panowała w Sierpcu moda na takie czapki, ponieważ stanowiły pewien kamuflaż wobec umundurowanych Niemców, którym Polacy musieli się kłaniać na ulicy i schodzić przed nimi na jezdnię. (Sam kiedyś zostałem uderzony w twarz przez Bahnschutza<sup>23</sup>, przed którym nie zdjąłem czapki.) W sumie, dążąc w kierunku cmentarza, musiałem wyglądać cudacznie, niczym kołędnik-przebieraniec i w sam raz nadawałem się do obrabowania przez jakiegoś przybysza ze wschodu. Idąc przez pola, w pewnym miejscu musiałem przeskoczyć przez transeje wykopane przez internowanych Włochów, ale nie wykorzystane przez szybko cofających się żołnierzy niemieckich. W innych zaś miejscach napotykałem wielkie place pozbawione śniegu, bo stopiły go katusze, albo miałem przed sobą stopy artyleryjskich łusek i ślady czołgowych gaśienic. Wszystko wskazywało na to, że czołg stał tu dłużej strzelając właśnie w kierunku Mieszczka i Sułocinka.



Taką czapkę nosiłem pod koniec okupacji.

Wreszcie, w tym ojcowskim - zbyt obszernym i przepasanym paskiem - futrze dotarłem w rejon cmentarza. Dołączyłem tam do sporej grupy gapiów i z zachwytem patrzyłem na pancerne kolumny zwiastujące wolność i pracę w kierunku frontu. Po chwili spostrzegłem, że na każdym czołgu siedzi spora ilość żołnierzy w białych, maskujących strojach. Jako

---

<sup>23</sup> Bahnschutz = strażnik kolejowy.

bodaj jedyny z gapiów byłem tak szczęśliwie podniecony, że zacząłem machać ręką w kierunku bohaterских żołnierzy-wyzwolicieli.

Nagle poczułem, że ktoś mnie chwycił z tyłu za kołnierz i krzyżąc „Wy Germaniec , ili chto?”, ciągnie mnie gdzieś w bramę cmentarza. Był to uzbrojony w pepeszę czerwonoarmista. Na szczęście, znalazł się wśród gapiów jakiś starszy sierpczanin, znający język rosyjski. Wyklarował żołdatowi, że zna mnie osobiście, że jestem Polakiem i że chciałem jedynie pozdrowić jego towarzyszy broni.

Tak groteskowo wyglądało moje entuzjastyczne, pierwsze spotkanie z Armią Czerwoną w Sierpcu. Do głowy mi wówczas nie przyszło, że zwycięskie czołgi **pędzące na zachód**, w kierunku z którego dochodził huk dział, mogą nieść na grzbiecie nie własnych żołnierzy, lecz jeńców, w podobnych do rosyjskich, białych, ochronnych strojach.

\* \* \*

Podczas pobytu u Rodziców w czasie ferii 1950 roku, nie wzruszały mnie też nawet mury spalonego przez Niemców więzienia, w którym - po wyzwolenia przez Rosjan - widziałem rzecz potworną.

Mianowicie piwnice więzienia - wbrew zamiarom oprawców, dążących do zatuszowania śladów - wyjątkowo ocalały z pożaru, a właśnie w tych piwnicach dokonali oni mordu na 80 Polakach. Szedłem wzdłuż tych piwnicznych cel i w każdej z nich leżały w ubraniach - ciała zastrzelonych więźniów. Były one parami powiązane za ręce zwykłym drutem a następnie ułożone w stosy. Chociaż już same stosy trupów były zjawiskiem makabrycznym, nigdy przedtem ani potem przeze mnie nie oglądanym, to jednak, kiedy wszedłem do jednej z ostatnich cel, zdarzyło się coś jeszcze bardziej szokującego i wręcz surrealistycznego. Na samym wierzchołku jednego ze stosów leżało - można by rzec bezwstydnie - nagie, wielkie (najprawdopodobniej spuchnięte) ciało kobiety, które - jak twierdzili inni - było ciałem niemieckiej strażniczki więziennej, wrzuconej na stos przez oszalałych z bólu mścicieli.

Dla mnie, jako młodego i niedoświadczonego jeszcze wówczas mężczyzny, już sama nagość kobiety wystarczyłaby do tak mocnego przeżycia, aby mogło przetrwać do dziś. A cóż dopiero w kontrastującym zestawieniu z prawie setką ubranych, niezżytych mężczyzn.

Wszystko to po latach zbladło i zdawało się nie być ważne, wobec bieżącego biegu zdarzeń, wobec własnych problemów, planów zawodowych, naukowych oraz ambicji, związanych z zamieszkiwaniem przez kilka lat w dużym mieście i w akademickim, rozhukany środowisku. Widocznie byłem jeszcze wówczas za młody na atawistyczną miłość do rodzinnego grodu.

\* \* \*

Sentyment do tego skromnego miasta pojawił się dopiero trzydzieści lat później i w roku 1980 tak oto wyartykułował się w sążnistym wierszu pt:

### **„SZKIC O SIERPCU”**

*O tym mieście muszę koniecznie też  
- i to bardzo gorąco - choć jego oblicza  
nie zdobi książęcy zamek, ani tuzin wież,  
ani nawet porządna rzeka- bo cóż tam taka Sierpienica !*

*Muszę o nim gorąco, bo tam - jak gdyby  
nigdy nic - czas mi zatrzymało stawidło przy młynie  
i jakże często idę znów z Kazimierzakami na ryby,  
albo z Jankiem Sułkiem, w szczenięcej krainie  
beztroski, śpiewam: „Głowa do góry dziarska mina,  
harcerską w sercach nosim,  
hej! mazowiecka my drużyna  
z numerem dziewięćdziesiąt osiem”...*

*Muszę koniecznie o tym mieście, bo słynna  
Czwarta Klasa daje mi powód,  
rodzinny dom, Magda - pierwsza niewinna*

*miłość, pierwszy prawdziwy miłosny zawód...*

*A wiesz, że Zbyszek - mój brat -  
kiedyś komuś z Lipna dowodził najgoręcej,<sup>24</sup>  
że nasz Sierpc ważniejszy, że więcej ma lat  
i że w ogóle wszystkiego ma więcej.*

*Zaczęli obaj skrupulatnie przeliczać: Tu i tam bożnica,  
dwa kina, cztery kościoły,  
ratusz, starostwo, park, strzelnica,  
targowisko, szpital, cztery szkoły  
- włączając oczywiście cheder - młyn, stadion sportowy,  
cmentarz, mleczarenka mała,  
jatkę, dworzec kolejowy...*

*O dziwo! Nawet ilość ulic się zgadzała!  
W końcu jednak mój brat wygrał tę małą  
batalię - i to łatwo szalenie -  
ponieważ, jak się okazało  
Sierpc był wówczas bezsprzecznie ważniejszy  
- posiadał więzienie!*

\* \* \*

*Któż mógł wtedy przypuszczać, Kochanie,  
że właśnie to więzienie wróg uświęci  
polską krew i że istotnie zostanie  
ono tak ważne w pamięci.*

*I że właśnie z piwnicy tej spalonej  
budowli wyniosę na zawsze potworny obraz : stos  
pomordowanych - surrealistyczne zwieńczony  
nagością pogromczyni, która podzieliła ich los.*

*A potem, gdy już zabito wieko wojny  
i wystrzelałem na wiwat wszystkie rakiety w parku,*

---

<sup>24</sup> Podobna sprzeczka, pomiędzy moim bratem, Zbigniewem, a pochodzącym z Lipna, Zygmuntem Iwanejko, miała miejsce rzeczywiście, kiedy obaj byli znakomitymi hokeistami w kadrze krajowej AZS.



*nastał czas dalekiej, znoej  
wędrowki przez inne miasta, szkoły, przez lata na karku.  
I jakież to - Miła - dziwne, nieoczekiwane,  
że kiedy już zaszedłem w pobliże  
ostatniego pola - nagle bliskie, kochane  
stało się to miasto i cenię je wyżej.*

*Tak więc sama widzisz, że muszę o nim też  
- i to bardzo gorąco - choć jego oblicza  
nie zdobi książęcy zamek, ani tuzin wież,  
ani nawet porządna rzeka, bo cóż tam taka Sierpienica!*

***Muszę o nim gorąco, bo tam - jak gdyby  
nigdy nic - czas mi zatrzymało stawidło przy młynie...***



Młyn wodny koło Sierpca, przy którym niekiedy pod-  
nosiłem lub opuszczałem stawidło- fot. autora